



BLISKO ALE ZA DALEKO

cz. I
Kordian Zadrożny

- Oto on! - profesor wskazał ręką na podłużny, czerwony przedmiot.
- Taki mały? - spytałem.
- A czego się spodziewałeś?
- Coś, co ma dać taką moc, powinno być okazałe, nie wiem, lśnić może, iskrzyć jakimś promieniowaniem, sam nie wiem.
- To tylko wzmocni twoje naturalne możliwości. Profesor skinieniem poprosił, abym usiadł.
- Znamy się dwadzieścia lat John, nie wiesz o mnie wszystkiego. Moja tajemnica była dobrze strzeżona przez twoją matkę.
- A co moja matka ma z tym wspólnego? - zapytałem zdziwiony.
- Spotkaliśmy się trzydzieści siedem lat temu. Otworzyłem oczy ze zdumienia. Czy to możliwe abym był jego synem? Ta niewyjaśniona więź, jaka między nami była... W głębi, podświadomie wiedziałem, że mam rację.
- Tak John, to prawda. Jestem twoim ojcem i muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego. Spieszyłem się, aby to zbudować i powiedzieć ci wszystko zanim

odejdę.

Wtedy, gdy siedzieliśmy w jego gabinecie na uniwersytecie Stanforda, nie wiedziałem, że za moment, za chwilę zmieni się moje życie, a potem losy całego świata zależeć będą ode mnie. Ja, nieśmiały laborant, nie najlepszy zresztą, z lekkim brzuszkiem, i średniego wzrostu, o przesadzonej, rudej czuprynie, nie mogący mimo dość już konkretnego wieku znaleźć swojego miejsca na świecie, miałem być za moment istotą swymi możliwościami przewyższającą rodzaj ludzki. Zaczęło się od tego, że w pierwszej klasie szkoły średniej, w czasie intensywnych procesów hormonalnych zwanych powszechnie dojrzewaniem zacząłem mieć wizje. Potrafiłem widzieć przedmioty, najpierw ukryte, ale bliskie, np. widziałem wyraźnie stanik koleżanki z ławki obok, mimo, że był ukryty pod grubym swetrem (niestety tylko stanik), potem widywałem czasem przedmioty w pokoju obok, widziałem je w głowie, wiedziałem, gdzie się znajdują, czułem je. Trudno to wytłumaczyć, podejrzewam, że tak samo trudno opisać niewidomemu kolory. W

każdym razie mogłem się skupić i widzieć różne rzeczy, a z biegiem czasu również miejsca. Pamiętam, że gdy miałem dziewiętnaście lat powiedziałem o tym mojej mamie, ojca nie znałem. Ku memu zdziwieniu nie była tym specjalnie zaskoczona. Powiedziała:

- On mówił, że tak może być.

Potem poznała mnie z profesorem, pracowali razem, ona księgowa, on naukowiec, gwiazda nawet, bliski nobla. Wydawało się, że wie więcej, ale nie mówi wszystkiego, dość tajemniczy jegomość, powszechnie budzący zarówno szacunek, jak i strach ze sporą dawką zaciekawienia.

- Gdzie odejdiesz? Wyjeżdżasz na Florydę? - słyszałem, że chciano go w NASA, więc pomyślałem, że się przenosi.

- Niestety nie. Widzisz - przerwał na chwilę, aby przemyśleć wypowiedź - odchodzę na zawsze.

- CO? JAK TO? No weź, nie gadaj głupot. - Nie wiedziałem czy się śmiać czy płakać. Pomyślałem, że umiera, albo, że chce zrobić jakąś głupotę.

- Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał, mnie i swoją,

świętej pamięci matkę.

- Rozumiem, spoko, wiesz, zawsze troszkę podejrzewałem, pracujecie razem, takie związki bywają kłopotliwe. Porządny facet z ciebie i w sumie byłeś mi dobrym ojcem, właśnie wtedy, kiedy tego potrzebowałem. Pomogłeś mi zrozumieć moje zdolności. Opanować je. Wytłumić.

- Lek, który bierzesz od tak dawna, nie tłumi tak naprawdę tych zdolności. On je potęguje. Zmienia w sposób przeze mnie zaplanowany twoje DNA.

Czerwony przedmiot je uaktywni.

Szczęka mi opadła, tego się nie spodziewałem.

Wstałem, właściwie się zerwałem z fotela.

- Co kurwa? - krzyknąłem, nie wiedząc za bardzo, co mam powiedzieć - Jestem jakimś pieprzonym eksperymentem? - z całą pewnością moja twarz była koloru czerwonego buraka.

- Nie. Uspokój się. - złapał mnie za ramiona i posadził.

-To ja, to znaczy, twoje zdolności pochodzą ode mnie.

Posłuchaj wreszcie. Nie jestem człowiekiem.

O ile to możliwe moja szczęka wyładowała jeszcze niżej. Spodziewałem się, że zaraz zrzuci skórę i

wyłoni się zielony, może galaretowany potwór.

Niewiele się myliłem.

- To kim u diabła jesteś??

- Nie wiem, straciłem większość pamięci, wyglądamy z zewnątrz bardzo podobnie, pewne, hmm, różnice usunąłem operacyjnie.

- Te blizny po wypadku? - wskazałem na ślady na jego rękach, twarzy, szyi.

- Tak, nie było żadnego wypadku. - Wyjął z wewnętrznej kieszeni zdjęcie i mi podał.

Przedstawiało moją matkę, a jakże, oraz coś, co przypominało nieco profesora. Na szarawej twarzy, poza większymi niż u ludzi oczami i dość wąskimi ustami widać było wystające z czoła czułki! Był ubrany w klasyczny wyciągnięty sweter z choinką. Oboje wydawali się szczęśliwi.

- To zdjęcie zrobiliśmy nad oceanem, rok po tym, gdy tu przybyłem, a twoja matka mi pomogła. Znalazła mnie nad morzem, ledwie żyjącego. Nie pamiętam skąd jestem i jak się tu znalazłem. Wiem natomiast, że jestem innym gatunkiem, choć dość podobnym. Mam zdolności, które ty po mnie odziedziczyłeś.

- Co dokładnie możemy robić? I po co były te

tabletki?

- Badając cię odkryłem, że gruczoły wielowymiarowe masz dużo większe i o gęstszej strukturze niż ja. To jest część organizmu, która kontroluje czas i przestrzeń. Nie pytaj skąd to wiem. Wydaje mi się, że przed tym życiem byłem naukowcem, tam skąd przybyłem. W środku nie jesteś dokładnie człowiekiem, jesteś hybrydą.

Profesor, mój ojciec, wręczył mi czerwony przedmiot oraz instrukcję, co z nim zrobić.

- Teraz musisz już wyjść, żegnaj. - powiedział bez emocji, jednak widziałem szkliste oczy tego ...

Obcego. Zbity z pantafelki wyszedłem bez słowa, planowałem przyjść z rana do niego, cofnąłem się na chwilę do gabinetu, by o tym powiedzieć, lecz już go tam nie było. Zniknął.

Poszedłem do domu, chciałem się przespać przed pracą, choć miałem wrażenie, że cały czas śnię i obudzę się z mocnym bólem głowy.

- Kurwa, co ja wczoraj piłem? - pomyślałem.

Niestety nic, a to nie był sen. Zasnąć nie mogłem, wróciłem do domu, obejrzałem głupi film o obcych, a jakże, atakujących ziemię, wypilem parę piw i dopiero

przekiamałem na chwilę.

Przeczytałem rano list i instrukcję do czerwonej rzeczy. Mam to włożyć do porannej kawy. Toto rozpuści się a potem to wypić. To wyzwalacz, ma uruchomić istniejące w moim mózgu obszary odpowiedzialne za kontrolę gruczołu wielowymiarowego. Po kilku dniach wahania, zrobiłem to. Zmieniłem siebie i zmieniłem świat.

Obudziłem się. Otworzyłem oczy. Białka wypełniała krew. Skóra była sina jak u trupa. Ledwo, chwiejąc się i podtrzymując mebli poszedłem do łazienki, chciałem kląć i krzyczeć z bólu, lecz nie miałem siły. Nogę się pode mną uginały, gdy szedłem, pełzłem właściwie. Skupiłem się na łazience i nagle znalazłem się tam. Stałem przez chwilę przed lustrem próbując złapać ostrość widzenia. Pomyślałem o picciu, pragnienie paliło moje gardło i sekundę później stałem już w kuchni przy kranie.

- O ja pierdole! - wreszcie udało mi się coś powiedzieć.

Stałem tak przez chwilę, dopóki kątem oka nie zobaczyłem zegara na kuchence.

- Jezu, praca! - złapałem za telefon.
- Szefie, przepraszam, zasnęłam.
- Zasnęłaś? Człowieku. Tydzień się nie odzywasz, nie odbierasz telefonu, waliliśmy do drzwi i nic.
- Zaraz przyjadę. Pogadamy! - i w tym momencie znalazłem się w swoim pokoju, w biurze.

Zobaczyłem zdziwione twarze załogi i mojego szefa trzymającego telefon w ręku, wszyscy patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami. Stałem tam półgoły, w różowych pedalskich bokserkach i nie wiedziałem, co robić. Chciałem, aby czas się zatrzymał i ku memu zdziwieniu tak się stało.

Gdy moi współpracownicy się ocknęli było już po wszystkim.

- Czemu nic nie mówisz? - zapytałem szefa przez telefon udając, że nic się nie stało.
- Eeee, John?
- No tak, przecież zadzwoniłem.
- Byłeś tu przez chwilkę.
- Co? Przecież z domu dzwonię do ciebie, co ty gadasz?

Cisza po drugiej stronie słuchawki się przedłużała. Prawie śmiałem się na głos z tej sytuacji, musieli być

przerażeni, nie wiedząc, czy faktycznie mnie widzieli czy ze ścirowali.

- Jesteś tam? - zapytałem.

- Tak, tak, wiesz, eeeee, nie masz po co przychodzić, nie przychodź już, masz na poczcie zwolnienie dyscyplinarne. Powodzenia. - i się rozłączył.

- O ty jebany skurwielu - powiedziałem na głos.

Tyle lat za marną kasę dla firmy, kilka dni mnie nie było, mogłem być w szpitalu przecież, i już mnie wywalają? No kurwa!

Zaskakująco szybko opanowałem tą, nazwijmy ją, teleportację. Teleportacja to nie najlepsze słowo, bo widziałem, czy też raczej obserwowałem podróż z miejsca na miejsce, choć działa się to niemal natychmiast. Natychmiast czasu ziemskiego, standardowego, ale ja leciałem niczym duch przechodząc przez ściany, ponad ulicami, w linii prostej do celu. Oczywiście, pierwszą rzeczą jaką zrobiłem, była zemsta na tej cholernej farmaceutycznej firmie, w której pracowałem. Szybki skok w kominiarce do serwerowni, to znaczy najpierw skok do pewnej fabryki produkującej granaty, i odbezpieczenie tego granatu w pustej o tej porze

serwerowni załatwiło sprawę.

Poczułem moc i władzę. Pewnie każdy z was by to poczuł. Kilka skoków i miałem gotówkę z banku, nowy, wielki na pół ściany telewizor, blueraya i kilka innych gadżetów. Wbrew temu co często zajmuje połowę filmu, ja nie musiałem uczyć się korzystać z tych zdolności. Od razu je rozumiałem, czułem, wiedziałem jak z nich korzystać. Prawdziwy super bohater, plehhh, za nic. Planowałem korzystać z życia na sto procent.

Przeniosłem się do marketu technologicznego, takiego z tych co obok siebie mamy telewizory, kilka półek dalej komputery, tablety itd. Zatrzymałem czas, i powolutku, nic się nie spiesząc przechodziłem sektor po sektorze i zabierałem, to nowiutki GPS (nie wiadomo po co), to nowiutkiego galaxy, to tablet, wieżę. Łaziłem tak z godzinę, potem poszedłem na ciuchy, na koniec zawinąłem do knajpy, zamówiłem żarcie, po kilku chwilach zatrzymałem czas, zabrałem je z kuchni i przeniosłem się do domu.

Moc mnie opanowała, zacząłem podróżować dalej, najpierw do innych miast, potem krajów. Śniadanie nad morzem śródziemnym, postanowiłem jednak

płacić w knajpach (co prawda kasą z losowo wybieranych banków), obiad w Chinach, a kolacja na statku. To się nazywa życie!

Pewnego dnia siedząc nad oceanem i oglądając zachód słońca, usłyszałem krzyk. Nie myślałem, zareagowałem instynktownie. W ciemnej, portowej uliczce czterech młodych mężczyzn urody meksykańskiej próbowało zgwałcić młodą Azjatkę.

- Zostawcie ją! - sam się zdziwiłem moją reakcją, nigdy nie byłem taki hardy.

Dwóch ją trzymało a trzeci wstał i wyjął z kieszeni spory nóż.

- Spierdalaj białasie, bo ci uśmiech poszerzę. - powiedział.

Nie planowałem wdawać się w dyskusję. Zatrzymałem czas, gdy wznowiłem jego bieg, gość stał z opuszczonymi spodniami a nóż miał włożony w dupę. Miałem szczerze mówiąc również w dupie czy mnie widzą, rozpoznają itd. Przecież z tą prawie boską mocą, nikt mi nic nie może zrobić, śmiałem się sam do siebie.

Reakcja tych popłuczyn człowieczeństwa była natychmiastowa, nogi za pas. Dziewczyna oczywiście

dziękować chciała, ale nie czekałem. Przeniosłem się na przylądek Canaveral, start rakiety, to jest piękny widok, od roku miałem moc, i nie przegapiłem żadnego większego startu. Z dnia na dzień moja moc rosła, czułem że treningiem wydłużam swój zasięg, ale również po każdym dalekim skoku musiałem odpocząć, najeść się, napić. Po skoku na drugą stronę ziemi musiałem odpoczywać kilka godzin. I właśnie po jednym z takich wypadów musiałem przemyśleć swoją nietykalność.

- Poruczniku, Obiekt został zauważony w Polsce. Mamy obraz z kamery monitoringu, przed restauracją rybną w Kołobrzegu. To miasto turystyczne nad polskim morzem.

- Dobrze, nie możemy tego spieprzyć. Porucznik FBI Ethan Clarc stał za plecami dyspozytora i obserwował obraz z kamery. W pomieszczeniu operacyjnym było kilkadziesiąt takich stanowisk, agenci zbierali dane z różnych źródeł, segregowali je, przeglądali, analizowali i łączyli w całość.

Szukali obiektu od pół roku.

- Uwaga, dajcie mi szybko kontakt z Polskim biurem - skinął do jednej z grup agentów - wyślijcie operatorów, ile czasu to zajmie?

- Mamy trzech agentów w Koszalinie, będą na miejscu za czterdzieści trzy minuty - powiedziała czerwonołosa agentka w granatowym mundurze.

- Prezydent na linii - jeden z trzydziestu operatorów informacyjnych będących na miejscu poinformował porucznika o połączeniu.

Na głównym ekranie operacyjnym pokazała się nałożona na mapę z aktualnymi danymi nakładka z głową prezydenta.

- Witam, o co chodzi?

- Przepraszam za tryb panie Prezydencie, ale mamy poziom piąty. Działanie międzynarodowe w sojusznicznym Państwie.

- Proszę o wyjaśnienia, zgody udzielam, ale chcę wiedzieć, o co chodzi.

- Około rok temu, zaczęły się mnożyć wypadki dziwnych kradzieży, z banków, sklepów, nawet restauracji. Do tej chwili wartość całkowita to paręset tysięcy dolarów. Monitoring zazwyczaj nic nie

rejestrował, ot, jest przedmiot, a w następnej klatce go nie ma.

- Bez żartów, co to ma być? - prezydent zdziwiony podparł się na łokciu.

- Trzy miesiące temu została uchwycona w kamerze nadzoru portowego sytuacja co najmniej dziwna. Kamera zarejestrowała napad na pewną dziewczynę. Przyszedł jej z pomocą pewien mężczyzna, zwykły Amerykanin, z niemałą nadwagą. Niewyróżniający się. Jeden z napastników wyjął nóż i w następnej klatce stał bez spodni z nożem wetkniętym w odbyty, a ten jegomość stał inaczej niż przedtem. Przeglądaliśmy to wiele razy, obrabialiśmy, nic. Człowiek ten odszedł kawałek, skręcił w boczną uliczkę i już żadna kamera go nie zarejestrowała. Przejrzeliśmy nagrania z molo i z nabrzeża i znaleźliśmy go. Nazywa się John Kent. Jest informatykiem, rok temu został wyrzucony z pracy. Prześledziliśmy, co się działo od tego czasu. Ze stanu jednej z fabryk broni znika granat i eksploduje w serwerowni firmy, która faceta zatrudniała.

- No to sprawa jasna, ale jak on to robi? Jakieś sztuczki? Jest to zagrożenie dla Państwa? -

Dopytywał się prezydent.

- Nie wiemy. Dlatego proszę o zgodę na likwidację.
Nawet jak go uśpimy, to może zniknąć po obudzeniu.

- Czy ma rodzinę?

- Niestety nie, nie mamy żadnego źródła nacisku.

- Zlikwidować. Nie chciałbym, aby ktoś się pojawił u mnie w gabinecie i dokumenty dostarczył Ruskim...

W pomieszczeniu znajdującym się głęboko pod ziemią praca wręła. Na ekranie widać było zbliżające się do celu punkty określające trójkę agentów. Obiekt był na miejscu już trzydzieści osiem minut, dostał przed chwilą swoje zamówienie i spokojnie siedząc jadł, niczego się nie spodziewając.

Nie mógł mieć większego pecha. Rozpoznał go były współpracownik, zastępca kierownika, który przyjechał w rodzinne strony swojej żony na wakacje.

Widział go w biurze rok temu w samych slipach, potem był przesłuchiwany. Wiedział, że szukają Johna, więc zadziałał, licząc na nagrodę. Nagrodą niestety mogła być tylko śmierć.

Policja po cichu odcięła teren, John siedząc w restauracji plecami do wejścia nawet tego nie zauważył. Działał jak amator, zamiast usiąść przodem,

aby wiedzieć co się dzieje, on usiadł plecami, licząc na to, że nikt go z zewnątrz nie rozpozna. Agent numer jeden przygotował miejsce strzeleckie w hotelu Bałtyk, miał z okna doskonały widok na restaurację. Przygotował swojego M40A5. Na taką odległość idealna broń. Wprowadził ustawienia wiatru i odległości do przyrządów celowniczych i czekał. Dwaj pozostali agenci mieli wejść do środka jako klienci i z bliskiej odległości za pomocą małych pistoletów maszynowych zlikwidować cel i świadków. On był ubezpieczeniem.

Agenci numer dwa i trzy szli ulicą Rodziewiczówny, ubrani jak zwykli turyści. Weszli do restauracji, zamówili jedzenie i usiedli naprzeciw Obiektu. Agent numer jeden obserwował całe zdarzenie przez celownik optyczny. Gdy cel został potwierdzony, agenci powoli, zgodnie z ustaleniami, aby nie budzić podejrzeń, zajrzeli, jeden do swojego plecaka, drugi do teczki. Ot, jeden wyjmując laptopa, a drugi aparat i będą przegrywać zdjęcia. Sytuacja całkowicie naturalna, niebudząca podejrzeń.

Nagle, wyjęli swoje MTAR-21. Szybko, w sposób wytrenowany, nie trwało to dłużej niż ułamek

sekundy. Otworzyli ogień, lecz obiektu już nie było. Zrobili z fotela ser szwajcarski. Agent dwa przeniósł ogień na świadków. Zlikwidował rodzinę dawnego współpracownika Obiektu i restauratora.

Agent jeden kątem oka zobaczył ruch, przesunął odrobinę karabin i zobaczył Obiekt stojący za drzewem w Parku obserwujący akcję. Stał może trzydzieści metrów od wejścia do restauracji.

Przymierzył strzał, celując w nieruchomy cel z takiej odległości nie mógł nie trafić. Dla pewności jednak celował w tułów. Niecałe sto dwadzieścia metrów odległości, przy tej energii strzał musiał być śmiertelny. Odgłos wystrzału targnął okolicą. Obiekt upadł trzymając się za bok.

- Cel trafiony, agencie szybko na zewnątrz! - krzyczał dyspozytor w sali operacyjnej. Widzieli wszystko dzięki umieszczonemu wysoko Predatorowi, biorącemu udział w manewrach na Bałtyku. Bezzałogowa maszyna, sterowana z bazy oddalonej o tysiące kilometrów, przekazywała obraz z minimalnym opóźnieniem. Na ekranie ujrzeli padającego człowieka. Mimo trafienia ruszał się,

schował się za drzewem uniemożliwiając oddanie kolejnego strzału przez strzelca wyborowego. Z restauracji wybiegli dwaj agenci i rzucili się biegiem w jego kierunku. Obiekt nie zniknął, próbował uciekać ciężko ranny. Czołgał się, po chwili wstał. Gdy już do niego dobiegali z bronią gotową do strzału, zniknął, by pojawić się kilkanaście metrów dalej. Upadł, ale nadal walczył, brnął na kolanach. Agenci znów biegli i mierzyli.

- Nie strzelać, chyba go mamy!! - krzyknął Ethan.
- Tak jest, widzimy go wyraźnie, jest mocno ranny. Oberwał chyba w wątrobę.

Agenci podchodzili do celu z bronią gotową do strzału, mierząc precyzyjnie. Jeden z prawej pod kątem, drugi z lewej. Mężczyzna podrywał się co chwilę, zniknął, po czym pojawiał za moment, ale coraz bliżej, najpierw kilkanaście metrów, potem kilka. Teraz zamigotał i upadł bez świadomości.

- Żyje - powiedział jeden z agentów.
- Dobrze, ewakuacja, wysyłamy helikopter na plażę. Karetka wojskowa już jedzie.

John leżał podłączony do aparatury medycznej. Utrzymywany był w sztucznie wywołanej śpiączce. Na monitorze kontrolnym widać było, że wszystkie funkcje życiowe są w normie. Gdyby nie śpiączka farmakologiczna, ledwie dwa tygodnie po postrzale mógłby wstać i wyjść. Koło stołu stali dwaj lekarze i Porucznik Ethan.

- Proszę panów o raport.
- A więc - rozpoczął starszy mężczyzna, na którego twarzy wyraźnie odcisnięte były ślady czasu - obiekt posiada DNA podobne do naszego, spokrewnione, ale na pewno nie jest człowiekiem.
- Skóra gęstsza o trzydzieści procent, zawiera włókna z krzemu - podjął temat drugi - mózg o dwa procent gęstszy, bardziej pofałdowany w pewnych miejscach. No i umieszczone wzdłuż kręgosłupa gruczoły niewiadomego zastosowania.
- To mutant? Jak w X-menach? - Ethan czytał na tablicie szczegółowe informacje o obiekcie.
- Nie wiemy. Na pewno nie jest zupełnie obcy, miał matkę. Ekshumowaliśmy ją, badania genetyczne potwierdziły pokrewieństwo.

- No to przynajmniej mamusia była człowiekiem.
Panowie, to oczywiście musi zostać między nami,
rozumiemy się? Proszę o szczegółowy raport
zawierający wszelkie możliwości, od
prawdopodobnych po najbardziej niedorzeczne.

Długo go możemy tak tu trzymać?

- Ciężko powiedzieć. Przeszliśmy na inne środki,
zaczął się wybudzać i adaptować do poprzednich.
Wie Pan, to jest coś, czego jeszcze w agencji nie było.
Obiekty z Roswell były zbudowane zupełnie inaczej,
nie były spokrewnione z nami w żaden sposób, tutaj
mamy organizm, który może ruszyć do przodu wiele
dziedzin nauki.

- W gruncie rzeczy Panie poruczniku to nie jest
człowiek, nie obowiązują nas żadne konwencje co do
traktowania go w sposób humanitarny. Z tego co
widać, on się regeneruje o sześćdziesiąt procent
szybciej niż my, więc możemy podawać mu wszystko
co mamy łącznie z narkotykami. Nie powinien
umrzeć.

- A jak postrzał, zagoił się cały?

- Tak, mimo że stracił 80% wątroby i nerkę, to dziś
nie widać śladów poza drobną rysą. Ograniczyliśmy

ilość związków odżywczych, aby się za szybko nie regenerował.

- Dobrze, do widzenia.

Ethan wyszedł na konferencję. Całe CIA i FBI było postawione na nogi, łącznie z agencjami sojusznich krajów. Według niego, jeśli takich istot było więcej, było realne zagrożenie dla całej planety. Lekarze czekali na posiłki. Wyselekcjonowany zespół chemików, fizyków, lekarzy, chirurgów, naukowców wszelkiej maści zgromadzony został w tajnym wojskowym laboratorium, gdzie mieli badać Obiekt. Mężczyznę rasy białej w wieku trzydziestu ośmiu lat.

W pomieszczeniu śmierdziało palonymi tam od lat papierosami. Przydymione okna, brudne ściany ze śladami grzyba, ledwie działające, co chwilę migające światło. Kilka stolików, lada, a na niej dzbanek z zaparzoną rano, zimną już kawą. Klasyczny bar przy stacji benzynowej pośrodku niczego. Stojący za ladą gruby facet, w wyciągniętym, niegdyś białym, podkoszulku raczej zniechęcał do skorzystania z usług tego przybytku.

Jednak właśnie pod ten bar podjechały dwa czarne

Fordy. Wsiadło z nich kilka osób i od razu skierowały się do środka.

- Czy jest sierotka Marysia? - Zapytał wielki facet o kwadratowej szczęcie.

- Czekaj już na Jasia - Odpowiedział obleśny barman. Przybyli mężczyźni w czarnych garniturach i kapeluszach udali się na zaplecze. Tam po wybraniu odpowiedniego numeru z telefonu komórkowego i wpisaniu kodu przez jednego z nich otworzyła się część podłogi odsłaniając zejście w dół. Ruszyli krętymi schodami aż do prostego, jasno oświetlonego korytarza. Na jego końcu były drzwi windy. Zjechali nią 30 m pod ziemię. Na dole przywitał ich znajomy lekko stęchły zapach starej klimatyzacji.

- Witam Panów - przywitał gości Ethan.

- Gdzie on jest? - Zadał pytanie ten wielki z kwadratową szczęką, o głowę przewyższający porucznika Ethana.

- Proszę za mną.

Ruszyli w milczeniu. Młody porucznik czuł się nieswojo. On mógł wiele, ale ci którzy przyjechali mogli wszystko. Mieli pełnię uprawnień i pozwoleń. Gdyby chcieli, mogliby wywołać trzecią wojnę

światową. Przeszli przez sektor operacyjno-wywiadowczy i dotarli do grodzi szczelnie chroniących laboratorium.

- Już jesteśmy, tylko uprzedzam, widok może zniesmaczyć.

Co poniektórzy z gości uśmiechnęli się krzywo i weszli do środka.

Obiekt leżał na brzuchu na środku sali operacyjnej. Jego plecy wzdłuż kręgosłupa były rozcięte, a skóra trzymana była zatrzaskami. Widać było jak na dłoni kręgosłup, okalające go mięśnie, a wzdłuż kręgosłupa dziwne, fioletowe narośla, przypominające trochę wyglądem makówkę.

Mężczyźni stanęli wokół stołu.

- Czy to jest to? - zapytał bez zbędnych słów jeden z nich wskazując na gruczoły.

- Tak, wydaje nam się, że to pozwala mu się teleportować. Macie tam - wskazał na metalowy regał stojący pod ścianą - kilka tych gruczołów w formalinie. Co ciekawe pod odcięciu mu tych elementów, one szybko się odbudowały, po jednym dniu były już nowe.

- Jak to działa? - jeden z ubranych na czarno, ale

wyraźnie starszy od innych, zadał pytanie.

- To jest inna fizyka panowie, nie rozumiemy tego do końca, nie mamy teorii pasującej, ale wewnątrz tego gruczołu ma większą powierzchnię niż zewnętrzna jego powłoka. Mierzyliśmy setki razy.

Do pomieszczenia wszedł jeden z naukowców badających ten okaz.

- Witam, przepraszam za spóźnienie. Panowie, Pan pozwoli poruczniku, że będę kontynuował za Pana?

- Ależ oczywiście profesorze.

- Agencie .. - spojrzał na kwadratową szczękę.

- Frost.

- Agencie Frost, te organy służą kontroli, zmianie, nie wiemy dokładnie, czasoprzestrzeni. Są furtkami do innych wymiarów. Gdyby mieć taką technologię, moglibyśmy kontrolować całą planetę i nie tylko....

- Właśnie po to tu jesteśmy. Przypilnować, żeby to nie wyciekło. Macie plan przesłuchania obiektu, jak to zrobicie, aby nie uciekł?

- Okazało się, że w bardzo silnym polu elektromagnetycznym, 108 A/m, te organy, gruczoły przestają reagować na jakiegokolwiek bodźce. Możemy go wybudzić i przesłuchać.

- On to przeżyje?
- Cały czas walczymy z jego organizmem, żeby się nie wybudził, adaptuje się do leków i narkotyków dość szybko. Nie ma obawy.
- Dobrze, zaczynamy więc.

Poczułem ból jak nigdy w życiu. Pamiętam, jak obserwowałem tych dwóch zza drzewa, potem gdy próbowałem uciec, ale nie mogłem się przemieścić, i teraz to. Z trudem otwieram oczy, krew pulsuje, żyły dudnią, w uszach gwizdże. Obraz wciąż nieostry, nienaturalnie kolorowy, leżę twarzą do dołu na jakimś łóżku do masażu z piekła rodem, a sam diabeł masuje mi plecy. Czuję, że płoną żywym ogniem. Próbuje poruszyć głową i rękoma, ale ból jest niesamowity, tracę na przytomność, by po chwili ją odzyskać. Stoją nade mną, moi kaci.

- Jak się nazywasz? - ledwo słyszę, dźwięk atakuje moje uszy, basy są na nienaturalnie wysokim poziomie. Czuję, że głowa zaraz eksploduje.
- Joooohnnn - cedzę przez zęby.
- Kim jesteś, czym jesteś?

Mija chwila zanim rozumiem to pytanie.

- Jestem informatykiem, bezrobotny, o co chodzi? -

Zmysły powoli wracają do normy, wyostrzają się.

- Kim jesteś? - głos ponawia pytanie, jest stanowczy, ale spokojny. Doświadczony człowiek, rozumie swoją pozycję.

- Jestem człowiekiem, urodziłem się w Cansas, sprawdźcie.

Próbowałem się przenieść, lecz nie czuję w ogóle gruczołów, tak jakbyście chcieli poruszyć ręką, która została amputowana. Cały czas natomiast czuję przepływ czasu, jego prąd, ciśnienie. Może zablokowali jakoś przenoszenie, ale chyba mój organizm jest bardziej skomplikowany niż myśleli.

Niech myślą, że mają przewagę, niech tak czują.

- To wiemy - mężczyzna schylił się, widzę jego twarz poraną bliznami, głębokie, inteligentne spojrzenie - jednak nie jesteś człowiekiem takim jak my.

Właściwie, to mam to w dupie - nagle zmienił ton - Gdybyś nie kradł, w ogóle nie byłoby tematu.

Jak oni trafili na mój trop? Myślę, co powiedzieć, ale wiem, że nie ma co. Jestem winny, sumienie dręczyło mnie już od jakiegoś czasu.

- Chcecie mnie tu trzymać do końca świata? -

Zacząłem ich badać.

- To zależy od Pana, czy zechce Pan współpracować.

- O jakiej współpracy mówicie? - Ból w plecach był coraz gorszy, przestawały działać ich środki przeciwbólowe, musiałem wyjąć asa, ale czekałem na rozdanie kart.

- Powie Pan wszystko o tym, co Pan może robić, potrafi, zacznie Pan pracować dla nas.

- Szanowny Panie - uśmiełem się - a jak zamierzacie mnie kontrolować?

Pokazał mi zdjęcie.

- Wiesz John, kto to jest?

- To chyba Lisa, moja dziewczyna ze studiów.. Co ona ma do tego? - spytałem zaniepokojony - nie widziałem jej od ośmiu lat.

- Piszecie do siebie, wiemy o tym, ona ma dzieci, dwójkę bliźniaków. Chłopiec - pokazał mi zdjęcie - Franek, dziewczynka - kolejne zdjęcie - Hanna. Mają po siedem lat John.

As, to jest ten moment. Twarze naokoło mnie znieruchomiały, światło zgaśło, poruszając głową zderzałem się z zamrożonymi w powietrzu fotonami.

W momencie zatrzymania czasu wzrok jest nieprzydatny, czas nie płynie, światło się nie przemieszcza, oczy nie widzą. Natura tworząc jednak taką istotę, znajduje na to rozwiązanie, nie wiem jak to działa, ale widzę oczyma duszy. Podobnie jak przy obserwacji na odległość w mojej głowie pojawia się wielowymiarowy obraz otoczenia, nie widzę, ale wiem, co i gdzie się znajduje. Ten zmysł, jakkolwiek działa, pozwala mi widzieć doskonale praktycznie w każdych warunkach. Patrzę na tego, o kwadratowej szczęce, z którym rozmawiałem, i widzę go z każdej strony. Widzę go na wskroś. Jest to dość męczące, ale mam już wprawę. Nie mogę się transportować. Pole działa mimo zatrzymania czasu, nie wiem zresztą czy to czas staje, czy ja jestem poza nim. W innym wymiarze? Nie wiem, jak to nazwać. Próbuję zejść z łóżka, ciska mną ból. Dopiero teraz, moim dodatkowym zmysłem widzę to, co się dzieje z moimi plecami. Rozcięta skóra, przymocowany jestem do urządzeń, kable, przewody. Pokonuję z trudem ból, odrywam to wszystko z kawałkami ciała. Tracę przytomność.

Gdy ją odzyskałem musiało minąć sporo czasu,

mojego, lokalnego. Włosy urosły mi już do połowy pleców, już zagojonych. Wyłączam elektromagnesy. Wracam do normalnego czasu.

- Chcę współpracować, ale na moich warunkach - mówię z kąta pokoju, zza pleców agentów.

Tego się nie spodziewali, nikt z tego pomieszczenia. Widzę jak na zwolnionym filmie, gdy się odwracają w popłochu, strażnicy celują we mnie.

- Uwagaaaa - krzyczy któryś z nich.

- On ma znowu kontrolę!!! - Krzyczy facet w fartuchu laboratoryjnym, innemu stojącemu obok facetowi w garniturze wypada z zębów wykałaczka, którą żuł do tej pory.

Zatrzymuję czas, zabieram strażnikom broń, wracam w ten sam kąt i już nie mogę się doczekać tych min. Stoję przed nimi i trzymam dwa karabiny lufami do dołu. Strażnicy patrzą na swoje ręce, jeden mdleje. Rzuca się na mnie jeden z agentów, trafia w ścianę głową i pada nieprzytomny, gdyż już jestem po drugiej stronie pokoju.

- Stop panowie, porozmawiajmy - rzucam karabiny na ziemię, wyciągam rękę do przodu z otwartą dłonią,

znak pokoju.

- Stać! - krzyknął ten z kwadratową szczęką -
zostawcie go. Dobrze, porozmawiajmy. Ja, Pan i
porucznik Clarc - powiedział wskazując na
garniturka, któremu wypadła wykałaczka.

Stali wszyscy czerwoni na twarzach, czy to ze złości,
czy ze strachu. Nie wiem. Przeszliśmy do niewielkiej
sali konferencyjnej, byłem głody jak diabli, chcieli mi
coś przynieść z kantyny, ale na wszelki wypadek,
gdyby znów próbowali mnie uśpić, poprosiłem o kilka
dorców i skoczyłem 30 km stamtąd po hot doga i
piwo. Widać nie przywykli jeszcze do tego, bo gdy się
pojawilem, już rozmawiali, aby rozpocząć
poszukiwania mojej osoby.

- Spokojnie Panowie, kolejka była - powiedziałem z
uśmiechem.

Tym razem i im się mordy wyszczerzyły.

Nawiązaliśmy kontakt.

- Zacznę od tego, że - rozpocząłem rozmowę gryząc
bułę z parówką - faktycznie przegiąłem. Zresztą się
zreflektowaliście, bo jednak w pewnym momencie
zacząłem płacić, co prawda kasą z banków, no ale
zawsze. Chcę to oddać, odpracować. A rzeczy, które

mogę zrobić, podejrzewam, są dość pożądane przez nasze państwo.

- Słucham z zaciekawieniem - Ethan Clarck oczami doświadczonego śledczego obserwował każdy mój gest. Wsłuchiwał się w każde słowo. Twardziel w czarnym garniaku milczał.

- Państwo odda moje długie, będę miał normalną umowę o pracę, pensję tak jak każdy z was.

- Żartuje Pan - groźny włączył się do dyskusji.

- Nie, pokażę, że mówię szczerze. Jaką macie teraz sprawę, nad którą pracujecie? No poza moją? No, Panie groźny?

- Frost, agent Frost.

- Agencji Frost, w czym mogę w tej chwili pomóc? Mówię poważnie. W myślach niestety nie umiem czytać.

- Czy aby na pewno? - zapytali obaj naraz, uświadamiając mi, jak bardzo się mnie boją.

- W Filadelfii grasuje świr, podkładający bomby pod przedszkola. Gdzie i kiedy był ostatni wybuch?

- 12 lipca tego roku, o godzinie 13:30. Zawsze o tej samej wysadza ładunki. To już trzeci. Śmierć poniosło sześćdziesiąt osób, dzieci i opiekunów.

- Czy mogę prosić o aparat?
- Słucham?
- Czy mogę prosić o aparat? Po angielsku przecież pytam.

Agent wyciągnął z kieszeni telefon i mi go podał.

- Ma dobrą matrycę, po co to panu?
- Poczekajcie Panowie chwilę - powiedziałem, po czym w jeden setnej sekundy z siedzącego przy stole stałem się stojącym przy stole i podającym aparat właścicielowi.

Oczywiście znowu szczęki im opadły.

- Słucham?
- Ma pan tam zdjęcie Bombera. To strażak. Obejrzelisi zdjęcia z niedowierzaniem. Co tam zdjęcia, nagrałem film kiedy to robił, to znaczy podkładał bombę.

- Jak to możliwe?
- W pewnym zakresie, mogę pokazywać się, podróżować w czasie wstecz.
- A czemu Pan nie zareagował, nie przeszkodził mu?
- Nie mogę wpływać na inny czas niż ten, z którego przychodzę. Widocznie to jakaś naturalna obrona natury przed paradoksami. Do przodu też nie mogę

podróżować. Jak widzicie, moje intencje są czyste.

Mógłbym zniknąć i tym razem uważać.

- Wysłałam zdjęcie i film do centrali. - Ethan

majstrował przy telefonie. Zobaczymy.

- Pozostaje jeszcze kwestia mojej byłej i moich potencjalnych dzieci.

Gdy to powiedziałem, zobaczyłem na twarzy Agenta wahanie, wydawało mi się, że blefował, ale musiałem się upewnić.

- Tak? - wycodził przez zęby

- Umówmy się Panowie tu jutro, o 18 np. Ja znikam - i zniknąłem.

Musiałem jeszcze sprawdzić, co z Lisą i dziećmi. To, że to ona mnie pogoniła, nie miało żadnego znaczenia. Odnalezienie jej było łatwe, a dzieci, no cóż, były, ale nie te ze zdjęcia, tylko o lekko skośnych oczach...

Pierwsze dwa lata pracy dla rządu, a raczej dla

agencji, która nie zawsze z rządem czysto grała, powodowało stopniowe zwiększanie zaufania do mojej osoby. Fizycy, chemicy, biologowie mogli badać mnie kiedy chcieli, no prawie, a ja miałem sporą satysfakcję z pracy. Likwidacja kilkunastu karteli narkotykowych, zniszczenie irańskiego i północno koreańskiego programu atomowego w taki sposób, że tylko samego diabła podejrzewać mogli, i cała masa pomniejszych sukcesów sprawiły, że czułem się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Jednej rzeczy nie byłem w stanie robić. Zabijać. To znaczy likwidować celów.

To było w Afganistanie. Porwano belgijskich lekarzy. Oddział Mułły Zakhariego zaatakował konwój humanitarny. Gdy pojazdy wjeżdżały na *Highway 1*, główną autostradę Afganistanu łączącą Jalalabad z Kablem, pod drugim pojazdem w szyku eksplodował IED, czyli improwizowany ładunek wybuchowy. Z ciężarówki i żywności przez nią przewożonej zostały tylko szczątki. Pierwszy z samochodów ochrony MRAP Cougar został skutecznie zaatakowany przez granat z wyrzutni RPG. Terrorysty zbliżali się, kryjąc

w nierównościach terenu i ostrzeliwując pojazdy. Ogień skupili na samochodach wojskowych. Przez dłuższą chwilę trwała wymiana ognia. Gunner z HMMWV omiatał seriami pozycje Mudzahedinów, dociskając ich do ziemi. Kule świstały. Serie z AK 47 i AK 75 dziurawiły pojazdy, nie czyniąc strat w ludziach, większość pocisków wysyłana była jednak Panu Bogu w okno. Na przestrach. Marines, którzy ocaleli z MRAPa, przybrali pozycje obronne, celnie kłując śmiercią przeciwnika. Nie minęło 5 minut walki, gdy dwóch bojowników udało się na wieczny odpoczynek. Jeden bojownik zaważył na wyniku tego spotkania. Starszy mężczyzna z SWD pamiętającym wojnę z Rosjanami, przymierzył się z 200 m schowany za wyschniętym konarem drzewa. W celowniku optycznym swojego karabinu wyborowego zlokalizował gunnera. Wstrzymał oddech i lekko musnął spust. Głowa amerykańskiego strzelca eksplodowała. Trafionego czysto w czoło żołnierza rzuciło w tył. Bojownicy rzucili się do frontalnego ataku. Znaczna przewaga liczebna Talibów zakończyła szybko starcie.

Miałem współpracować przy uwalnianiu zakładników. Sytuacja była skomplikowana i napięta. Jedna z lekarek była dupą pewnego generała, który miał dobre plecy w Agencji. Inaczej do takiego zadania by mnie nie przydzielili. Wywiad lokalizował przybliżone miejsce trzymania zakładników. Ja, nauczony doświadczeniem, nie wykonywałem już niepewnych dalekich przemieszczeń. Po każdym musiałem odpocząć, a skok na czternaście tysięcy kilometrów męczy aż zanadto. To znaczy, sam skok nie jest męczący, tylko później długo nie mogę wykonać następnego. Nawet kilka godzin, więc mogło być to niebezpieczne. Po przebyciu takiej odległości nawet zatrzymywanie czasu jest trudne, dlatego na cel przyjeśliśmy amerykańską bazę w Dżalalabadzie. Wszystko umówione, przybywa agent, mają mnie ugościć, a następnego dnia idę swoją drogą. Oczywiście nie miałem się transportować wprost do bazy, byłem jednak tajny, znaczy moje zdolności, więc pojawiłem się na wolnej wydawałoby się przestrzeni. Obok koryta rzeki, 2 km od bazy. Po skoku zobaczyłem przed sobą, stojącego tyłem bojownika, obok drugiego, jeszcze dalej trzeciego. Szli z bronią

gotową do strzału. Obok inni rozstawiali stary ruski moździerz. Byłem tak samo zdziwiony sytuacją jak oni, niestety mój refleks, pomimo ostatnich dwóch lat regularnych treningów, które spowodowały zanik mięśnia piwnego, nie uległ znaczącej poprawie. Jak stałem, tak padłem, moment wcześniej czując uderzenie w tył głowy, podejrzewam, że kolbą.

Koniec końców miałem duże szczęście, Ocknąłem się w jakimś podpiwniczeniu. Leżałem na boku z rękoma spętanymi na plecach. Czułem smród mokrej gliny, a w ustach miałem posmak krwi. Rozejrzałem się. Pod ścianami leżało jeszcze pięć osób, spętanych i pobitych. Rozpoznałem wśród nich Amelię Carter, laskę wspomnianego wcześniej generała, dwóch żołnierzy i jeszcze dwóch cywili.

- Hej, żyjecie? - zapytałem

Spojrzeli na mnie pustymi oczami, jeden z żołnierzy, ewidentnie bardziej rozgarnięty, spojrzał na mój strój komandosa (no taki miałem na sobie) i zapytał.

- Czy ty jesteś odsieczą?

Skrzywiłem się lekko.

- Tak, troszkę to inaczej miało wyglądać, ale damy radę - Wstałem - Pomożesz mi rozwiązać ręce?

- Skopali cię tak, że myślałam, że już po tobie -
Powiedziała Amelia, seksowna laska o jasnych niczym
zboże włosach. Urodę było widać nawet pod
opuchlizną i siniakami na twarzy.

Miałem pewien problem logistyczny. Akcja miała
wyglądać jak zwykle, znajduję cele, czy też w tym
przypadku zakładników, daję namiary specjalsom a
oni załatwiają sprawę. Niestety, zawlekli mnie tu i nie
wiedziałem, gdzie jestem, pojęcia nie miałem. I uciec
dałbym radę, w każdej chwili mogłem się przenieść,
lecz taki transport to nie to co na piechotę. Nie
znałbym drogi powrotnej, więc od nowa musiałbym
szukać tej kryjówki. Oczywiście, byłoby mi łatwiej, ale
tu - sądząc z wyglądu jeńców - sprawy były nie
cierpiące zwłoki. Musiałem sam ich uwolnić.
Transportowanie nie wchodziło w grę, pole
generowane przez gruczoły wielowymiarowe
otaczało mnie dość ciasno, nawet raz założony plecak
został przycięty. Ubierać się musiałem w dość obcisłe
stroje. Najczęściej mundur oddziałów specjalnych z
kamizelką taktyczną. Masa kieszeni i schowków w niej
oraz w spodniach zastępowała teczki, plecaki i tym

podobne.

Żołnierz, kapitan Bill, rozwiązał mi spętane ręce, a ja potem wszystkim pomogłem zrobić to samo. Z początku plan wydał mi się prosty, choć oznaczał ujawnienie moich niecodziennych zdolności.

- Posłuchajcie, nie jestem zwykłym żołnierzem, uwolnię was.

- Jak niby? - Spytał drugi żołnierz w randze kaprała. Dziewczyna się trochę rozpromieniła, wydawało mi się, że ma z nich wszystkich najwięcej jaj, bo tego, że miała ich więcej ode mnie, byłem akurat pewny.

Gdyby nie te zdolności, to by mi do głowy nie przyszło, żeby jeździć w rejon działań wojennych.

Dwóch pozostałych cywili, jak się okazało kierowca i geograf, byli w stanie nienadającym się ani do ucieczki, ani nawet do jakiegokolwiek konwersacji.

- No więc, po pierwsze, to ściśle tajne, jestem super żołnierzem zmodyfikowanym genetycznie - nic lepszego nie mogłem wymyślić.

- O ja pierdolę, wariata komandosa tu mamy. - powiedział kierowca i się rozpłakał, pękł chłopina zupełnie.

- Nie, zobaczcie - po czym przeniosłem się metr

dalej. - jak widzicie bez ściemy. - Wzruszyłem ramionami, gdy oni zbierali szczęki z ziemi. Zacząłem już przywyknąć do tego widoku. Niestety, dopiero po tym zacnym pokazie zauważyłem kamerę w kącie pokoju, zamontowaną przy suficie.

Drzwi wypadły z hukiem wraz z zawiasami i do pokoju zaczęli wysypywać się bojownicy, krzycząc coś w swoim śpiewnym języku. Bill nie myśląc wiele, rzucił się na przeciwników. Ci jednak otworzyli ogień.

Rozglądałem się po pokoju oceniając sytuację. Kule z karabinów zdążyły przelecieć połowę dystansu do celu, czyli wprost w kierunku Billa, gdy zatrzymałem czas. Sprawdziłem, ilu jest przeciwników w pobliżu. No więc zdążyło wejść trzech, kolejnych czterech było przed drzwiami, a na piętrze jeszcze dwóch. Najpierw ci, potem będę myślał dalej. No cóż, sorki panowie, albo wy albo ja. Zabrałem jednemu z nich karabin, wycelowałem w głowę i... i za cholerę nie mogłem strzelić.

- Irracjonalny imbecyl - Powiedziałem sam do siebie. Obszedłem przeciwnika, sądząc, że od tył będzie prościej, ale niestety nic z tego. Próbowałem wcisnąć

spust, ale palec ani drgnął. Wysiliłem się tak, że kolor mej twarzy przybrał kolor zdrowego, soczystego pomidora, a tu dalej nic. Palec ani drgnął. Tego się nie spodziewałem. Nie mogłem zabić człowieka, nawet w tak ważnej chwili, i to wroga, który mnie wcześniej być może porządnie skopał.

- Zacznę od drugiej strony - pomyślałem.

Przytargałem Billa dwa metry od poprzedniej pozycji, męcząc się przy tym solidnie. Targanie zeszytniałego, stukilowego cielska nie należy do łatwych. Co prawda podczas zatrzymania czasu, grawitacja nie działa w zwykły dla niej sposób, niemniej jednak łatwe to nie było. Omijałem ostrożnie zawieszone w powietrzu pociski, które, mimo że teraz nieruchome, naładowane były energią kinetyczną. Nie chcę wiedzieć co by było, gdybym któregoś dotknął. Prawdopodobnie energia przeszłaby na mnie, choć bez typowej penetracji przez pocisk, czyli byłoby bum, a ja nie miałbym kawałka ciała... Lepiej nie sprawdzać tej teorii. Zabrałem broń naszym oprawcom i wcisnąłem w ręce naszej skromnej zbieraniny. Nadwyżkę broni rozłożyłem na części i schowałem w rogu

pomieszczenia.

Powróciłem do normalnego czasu.

Bill poleciał na ścianę, a pociski, które do niego
wysztzelono, zrobiły spore dziury w ścianie piwnicy.

Akcja toczyła się strasznie szybko, bojownicy
zaskokowani nagłym obrotem spraw, biegnący do tej
pory do przodu zaczęli hamować chcąc uciec,
spowodowało to jednak tylko ich wywrotkę. Wjechali
nogami do przodu niczym piłkarz w czasie wślizgu. W
niewielkiej i ciemnej piwnicy zaroїło się od ludzi.

Stojąca dookoła nasza mała zbieranina, w środku
kilku leżących bojowników, a przy drzwiach kolejni.
Jedni już zauważyli, że nie mają broni, inni jeszcze
trzymali ręce w gotowości strzeleckiej. U naszych
podobnie, dziewczyna i kierowca wypuścili broń, ze
strachem w oczach, geograf przybrał pozycję
strzelecką, ale trzymał karabin tak, jakby był to
pistolet. Widać w młodości naoglądał się "Policjantów
z Miami". Żołnierze na szczęście, albo niestety,
reagowali teraz zgodnie z wyszkoleniem.

Oni jeszcze może nie zrozumieli co się stało i nie
zarejestrowali, że mają broń, lecz ich ciała, ręce,
czując w dłoni karabiny, robiły to, do czego zostały

wyszkolone. Otworzyli ogień, krótkimi, kontrolowanymi seriami stworzyli bojownikom Armagedon i odesłali cały nacierający już bezbronny oddział do islamskiego raju, Dżannah-u. Zapewne zostaną szahidami, tymi, którzy oddają życie za wiarę, za walkę z niewiernymi.

- Jebać ich - Powiedziała Amelia podnosząc karabin - nie wiem jak to robisz, ale dobrze, że jesteś po naszej stronie - powiedziała do mnie. Ależ ona ma jaja!

- Jezu - powiedział kierowca, po czym rzygnął żółcią i zemdlął.

Reszta się trzymała, Żołnierze przyjęli obronne pozycje przy drzwiach, osłaniając się nawzajem, a geograf wzorując się na nich odpowiednio zmodyfikował sposób trzymania broni.

- To jest kurwa to! - wykrzyknął - co mam robić? - mówił dalej patrząc raz na mnie raz na żołnierzy. W oczach miał szczęście i szaleństwo. Nie byłem pewien czy to dobrze, czy źle. Ten niewielki, wątki, chudy wręcz człowiek w okrągłych okularkach zmienił się właśnie ze zwierzyny w myśliwego. Zastanawiałem się, czy mu przypadkiem nie wyjąć pestek z magazynka. Ruszyliśmy szykiem ubezpieczonym.

Broń zostawiłem, i tak bym jej nie użył, a skupiłem się na otoczeniu, moim specjalnym zmysłem widziałem wszystko w promieniu 100 m, niezależnie od grubości ścian. Na bieżąco mówiłem, co i gdzie, jakie zagrożenie. Rozbrajałem kolejne stanowiska ogniowe przeciwnika, ale tym razem, uprzedzeni o wszystkim Marines, pętali tylko bojowników. Cała baza jak się okazało obsadzona była w tym czasie przez 43 mudżahedinów. Tych co nie zginęli na początku zamknęliśmy w jednym z magazynów. Połączyliśmy się z bazą przez telefon jednego z nich i czekaliśmy na śmigłowce.

Placówka znajdowała się w górach, 20 kilometrów od granicy z Pakistanem. Siedzieliśmy teraz z Amelią na zewnątrz budynku w którym przetrzymywani byli bojownicy, Marines krążyli po okolicy patrolując teren, geograf zajął miejsce obserwacyjne na znajdującym się nieopodal szczycie, a kierowca spał głębokim snem. Cała ta sytuacja go wyraźnie przerosła.

- Jesteś gorszy niż bomba atomowa - patrzyła na mnie uwodzicielsko, kręcąc jasnym łokiem.
- Nie przesadzaj, powiedz, jeśli mogę zapytać

oczywiście..

- Wal.

- Co cię łączy z tym generałem?

Uśmiechnęła się szeroko, i zaczęła iść w moją stronę na czworakach, niebywale seksownie, lekko opuszczona głowa, czerwone usta, z końcówką języka oblizującą górne wargi, potrząsnęła głową, jej jasne włosy zafalowały niczym płomień, dotknęła mojego kolana.

- Może już nic? - powiedziała cicho, szeptem słodkim jak miód.

Przylgnęła do mnie, rozglądałem się nieśmiało, czy nikt nas nie widzi, ale nikt nie miał szans. Złapała delikatnie moją szyję, lewą ręką objęła mnie za plecy, a prawą sunęła delikatnie od kolana coraz wyżej i wyżej. Zaczęła sobie tą ręką rozpinać bluzkę, cały czas mnie mocno trzymając i całując namiętnie tym razem w wargi. Odpływałem, krew pulsowała, świat stawał się odległy. Wtedy poczułem przy brodzie coś zimnego...

Agentka stała nad ciałem mężczyzny trzymając w

ręku pistolet Walter P99. Następna kula przeznaczona była dla kierowcy, którego obudził wystrzał.

Podniosła telefon.

- Tak? - Odezwał się po rosyjsku niski męski głos.

- Obiekt zlikwidowany.

KONIEC części pierwszej